

# WYCIECZKA DO KANADY.

---

Pan Duvergier de Hauranne, jeden ze współpracowników *Przeglądu dwóch światów*, skreślił w témże piśmie swój ośmioletni pobyt w Stanach Zjednoczonych. Z tego artykułu, który wydrukowany razem, utworzyłby tom o dwudziestu i kilku arkuszach, wybraliśmy wycieczkę do Kanady. Mieliśmy na względzie, że o téj wielkiej osadzie angielskiej, daleko mniej mamy wiadomości, niżeli o Stanach Zjednoczonych; że prędzej czy później, kraj ten stać się musi powodem albo ciężkiej wojny między Anglią a Stanami Zjednoczonymi, albo też przez dobrowolne ustąpienie uzyska najprzód rząd własny, a potem, nieprzepartą siłą wypadków, zleje się w jedną całość z republiką północnej Ameryki; że nareszcie, jego niezmiernie przestrzenie rozciągające się na zachód aż do brzegów oceanu, a na północ aż do lodowatych pustyń okręgu bieguna północnego, dostarczają nam wszelkiego rodzaju futer, i mieszczą w sobie części dzikich pokoleń krajowców; że nareszcie, zalewane potokiem cywilizacji europejskiej, zapełniają się, chociaż nie tak szybko jak Stany Zjednoczone, nowymi osadami.

*Na jeziorze Ontario, 4 sierpnia 1864 r.*

Opuściłem Niagarę przy połykach burzy nocnej. Za każdą błyskawicą, katarakty jaśniały jak pałac czarnoksiężki. Z Niagary do Lewiston, gdzie wsiadłem na statek parowy, widok jeziora Ontario ciągnącego się w dalekości i okolicznych brzegów, mocno mię zajmował. Na statku znikł ten urok: jezioro wygląda jak ocean jednostajny i spokojny.

5 sierpnia obudziliśmy się na rzece św. Wawrzyńca. Z razu zdziwiła mię jęć nie wielka szerokość, lecz wkrótce przekonałem się, że niskie brzegi przy których płynęliśmy,

są to wyspy ciągnące się przez środek rzeki. Tu i owdzie roztwierają się ścieśnione ich rzędy i widzieć można brzeg przeciwny. Rzeka św. Wawrzyńca. jest w tém miejscu na milę francuską szeroka. Płynie spokojnie przez wielką płaszczynę, na której stoją tu i owdzie skaliste wzgórza, podmyte nurtem wody. Archipelag wysepek jest dziki i lesisty, lecz spiekły i pokryty słabą, napół zeschlą roślinnością. Krajobraz wygląda surowo i jednostajnie, lecz uderza wielkością swoją. Widzieliśmy kilka domów nad rzeką, i na wyspach. Zwolna oczyszcza się nurt i płynie szeroko. Po stronie Stanów Zjednoczonych, wielkie wsie i przystanie są pełne ruchu a brzeg kanadyjski nie zaludniony, widać że jest za obrębem kolonizacyi. Kanadyjczyk nie jest jak Amerykanin zaciekłym kolonizatorem, zahartowanym i nie znudzonym pracownikiem cywilizacyi, który wytępia lasy i wrębuje się w pustynie; Francuz z rodu, liczy na udział w dziedzictwie po ojcu, zastrzeżoném prawami i zamiast iść w świat za losem, woli na rodzinnéj ziemi zasypiać.

W Montreal jestem w kraju francuskim (1). O ile nie miło jest natrafić na obcych, którzy przez grzeczność albo próżność chcą rozmawiać naszym językiem; o tyle brzmi harmonijnie w ucho mojem, ten dyalekt normandzki, nieuszkodzony przez lat przeciąg tak długi. Przed chwilą, na kolei żelaznej, pomiędzy jasnowłosemi twarzami Anglo-Amerykanów, między którymi zamieszkał się jakiś elegant londyński albo żółtawiejący z czerwonymi i puciołowatemi policzkami, odróżniałem plemię francuskie, po czarnych włosach, śniadawej cerze kobiet, po weselszém i bardziej ożywioném obliczu mężczyzn. Widziałem także Indian, i to prawdziwych Indian z czystej krwi, pochodzących, jak mi powiadano, z osady rolniczej niegdys przez ks. Jezuitów założonej. Było to w Ogdensburgu, w nowo założoném mieście na wybrzeżu amerykańskim, na przeciw starego miasta kanadyjskiego Presscot. Wysadzano nas na bulwark, a tam niecierpliwie czekaliśmy na mniejszy i silniejszy parowiec, którym mieliśmy przeprowić się przez gwałtowne spady. Godziny upływały, a statku nie było widać. Zbliża się przecie powoli, z wielkimi kołami, wy-

(1) Przypominamy, że Kanada była niegdys osadą francuską i dopiero od lat stu zostaje w posiadaniu Anglii.

soki, krępy i do wielkiej kaczki podobny. Stając przy grobli, wyrzuca na wodę czarną belkę, przy której krańcu widzę człowieka, potem drugą, trzecią, nareszcie całą flotyllę czółen. Łodzie te, wyrobione każda z jednego pnia, są nierozłącznym sprzętem i mieszkaniem wędrownych Indyan, tak samo jak namiot, albo wóz u ludów pasterskich. Przenosili je dawniej na ramionach z rzeki do rzeki, dziś je kładą na parowce i wagony.

Przybyli gromadnie; mogłem przekonać się o ich podobieństwie do plemienia Mongołów. Nie są zupełnie czerwoni, lecz koloru miedzi; oczy mają czarne i błyszczące, czoło wąskie, nos spłaszczony, kości policzkowe wystające, usta i szczęki mocne, oblicze surowe i energiczne, a choć są już bezsilni, jeszcze nacechowani dzikością. Plemię to, chociaż przyswojone, ma krwawe, gwałtowne, niczem nie zatarte instynkta. Mężczyźni po większej części są straszliwi. Poczciwe i szerokie twarze murzynów nie tyle budzą odrazy, co te paszcze, podobne do pysków dzikich i znikczemnionych zwierząt. Noszą ubiór europejski, wełniane koszule i słomiane kapelusze. Kobiet strój nie malowniczy i dziwaczny, przypomina cyganki europejskie. Okrywają się wielkimi płaszczami ciemnej barwy z jasnym obszyciem. Głowa okryta albo długą zasłoną, albo kapeluszem pilśniowym podniesionym do góry. Widać u nich zbytek połączony z nędzą, właściwy wszystkiemu barbarzyńskiemu ludowi i upodobanie w błyszczących szkiełkach, tak przypadających do ciemnej barwy ich ciała. Trzeba im zausznic, bransoletek, naszyjników perłowych, nawet przy sukni w łachmanach. Jedna z nich miała lakierowane buciki. Zauważałem starą kobietę, z orlim nosem, z przenikliwym wzrokiem, z szlachetnym i dumnym obliczem; wydawała się jakby wyrobiona z brązu: bo też taki był jej kolor. Widziałem młodą dziewczynę, której ciemna cera nie była bez wdzięku i słodczy, bledszą od innych i oczywiście z pomieszania dwóch ras pochodzącą. Pokolenie to jest jedno z najwykształceńszych, mieszka niedaleko Montrealu, mówi po francuzku i wyznaje religię katolicką: bo język francuzki pierwszych zdobywców Kanady, rozszerzył się u podbitych plemion.

W innych stronach, szczątki plemion dzikich przewłóczą się z miejsca na miejsce, żyją z rozbojów, jałmużny i drobne-



go przemysłu, zwykłego włóczęgom. Po myślistwie i wojnie, żebractwo jest ich przyrodzoném rzemiosłem. Kiedy cywilizacya podbija resztę ich ziemi, staną się cyganami Ameryki i wyginą w nędzy i upodleniu. Nie zostali upośledzeni od natury; są bardzo liczne przykłady ich pojętności. General Parker szef sztabu generała Grant jest Indyaninem z rodu. Można pojedynczego człowieka oderwać od barbarzyństwa, ale całego ludu niepodobna prowadzić na paskach; musi wybierać między wydaleniem się lub zatrutą.

Bywa niekiedy, że instynkt plemienny jest potężniejszy od wszelkich przeszkód i odrzuca już poznaną cywilizacyą. Opowiadają, że młody człowiek z plemienia Indyan, otrzymawszy wychowanie w West-Point, świetnie zdał egzamen i został kapitanem. Wysłany na krańce zachodnie, ujrzał stepy i lasy, niegdyś posiadłość naddziadów, zorane i wytrzebione pługiem i toporem jego nowych braci. Tam daléj, przy wielkich górach, za ostatnimi trzodami bawołów, ostatnie szczątki jego pokolenia wędrowały, wygłodniałe, zdziesiątkowane nieustanną wojną i w nędzy dokonywały gasnącego życia. Ten obraz pustyni, widok współbraci, obudził w nim wspomnienia lat dziecinnych i przygasłe uczucia. Pewnego dnia ujrzano jego kwaterę opuszczoną, szpadę złamaną i szlify porzucone na ziemi: odszedł sam jeden, okryty wełnianą deką i już go odąd nie widziano.

Nie czekałem za parowcem, który dopiero nazajutrz miał przybyć. Z mantelzakiem na plecach i sakwą w rękę, (bo w Ameryce trzeba samemu radzić o sobie), pojechałem koleją żelazną do Prescott, a ztamtąd do Montreal. Nie widziałem wodospadu: lecz pojutrze jest niedziela, dzień wypoczynku, a jeżeli nie chcę stracić dwóch dni czasu, muszę być jutro rano o szóstej na pokładzie parowca, płynącego do Otawy. Już jest późno; koleje żelazne, parowce, szukanie miejsca, pilnowanie rzeczy, zajęły mi cały dzień. Nie wszystko jest miłe w tym pośpiesznym trybie życia.

*Otawa, 6 sierpnia.*

Statkiem parowym jedzie się z Montrealu do Otawy, z Prescott zaś koleją żelazną: wołałem jechać statkiem. Jutro jest niedziela. Mieszkańcy miasta chętnie ten dzień przepędzają na wsi, i szukają wytchnienia w lasach, ciągną-

cych się nad brzegami rzeki Otawy. Słyszę mój rodzinny język; majtkowie, robotnicy i znaczna część podróżnych są Francuzami. Przy wnijsciu na jezioro św. Ludwika, rzeka tworzy kataraktę między dwiema wyspami; gromadka dzieci i kobiet czekała na nas przy szluzie, i miała na sprzedanie makaroniki i cukier owsiany. Tych przysmaków nie napotkaliśmy po drogach, w Stanach Zjednoczonych. Pokazano mi wieś indyjską, jój nie symetrycznie zbudowane chaty, jój ogrody i kościoł. Plemię to, chociaż znacznie zmieszane z krwią europejską, zachowuje dawne zwyczaje. Ksiądz jest tam rzeczywistym naczelnikiem, lecz obok niego jest tytularny wódz pokolenia: był nim mieszaniec szkocki imieniem Kameron.

W głębi jeziora św. Ludwika, są nowe spady przy pięknej wiosce Karillon; zbierają się tam krajowcy, na pół dzicy i posępni, metysowie żółci i miedziani, Francuzi ciemnowłosi, Szkoci wysokiego wzrostu, z rudym zarostem, białe i pięknie ustrojone kobiety, w świeżem ubraniu wiosenném, witające swoich przyjaciół i krewnych. Karillon jest miejscem wypoczynku, dla wielkich tratów, płynących z północy; tam rozbite spuszczaają na spady a potem na jeziorze zbijają znowu.

Wysiedliśmy na ląd; drogą żelazną pojechaliśmy do Grenville, nad brzeg jeziora Dwóch gór; tam znowu zaczęła się nasza żegluga. Okolice są posępniejsze, roślinność ciemniejsza i dziksza; woda ma barwę czarną; północne jodły w zbitej gromadzie rosną na wzgórzach, a ich ostre wierzchołkami daleki najeża się widok. Jest to kraina północy, poważna i surowa, lecz uweselona słońcem letniem. Te obszerne przestrzenie wód, te długie pasma lasów, ten łagodny smutek rozpostarty w niezamieszkałych obszarach, wywierają wielki i odrębny urok. Tu i owdzie napotkasz gromady ptaków wodnych, których przenikliwy krzyk ciszę zakłóca. Na zielonych stepach pasą się wielkie gromady bydła, lecz nie dojrzyysz ani człowieka, ani domu, ani kawałka roli wykarczowanej wśród lasu; dwie lub trzy budy, grobla naprędce z balów i gałęzi zrobiona, i znowu pustynia. Lecz za to woda o tyle jest zaludniona, ile ziemia jest pusta. Częsty świst pary rozbudza brzegi, parowce holujące przechodzą powoli, ciągnąc za sobą długie rzędy niezmier-

nych tratów: są to jakoby pływające wyspy, na których całe osady rąbaczków i przewoźników zbudowały sobie szałas (1).

Niekiedy przesuwają się czółno Indyanina, jak porzucony pień drzewa, albo też w ustronném miejscu wydobywa się z głębi lasu cienki niebieskawy dym i wskazuje mieszkanie na wpół dzikiego rąbaczka albo pasterza. Wszystko to nie może równać się ze wspaniałością naszych Alp i bogatych dolin; lecz Europejczyk nowo przybyły do tych puszczy, doznaje niewysłowionego wrażenia.

Knieje te nie są tak osamotnione, jak wiele prowincjonalnych miasteczek w Europie. Dwa razy na dzień, statek parowy przynosi tam ruch i życie, wtenczas, z głębi lasów wychodzą podróżni dobrze ubrani, eleganckie damy, które nie wiedzieć skąd się wzięły. Nareszcie z wąwozu wychylają się dzwonnice, wieże gotyckie, poważny zbior kamiennych budowli: to Otawa miasto mające 15000 mieszkańców, przyszła stolica Kanady, dziwna mieszanina ostatecznej dzikości i wysokiej cywilizacji.

*7 sierpnia.*

Czy słyszeliście o mieście Otawa? Ja przyznam się że wcale nie wiedziałem o niém. Zdziwiłem się przeto, gdy mi powiedziano, że ta miescina ma być stolicą Kanady, że za parę miesięcy tu przeniosą się centralne władze. Ministerium angielskie tak postanowiło, z wielkim żalem Kwebeku, Montrealu, Torrento i wszystkich miast dawniejszych. Czyliżby rząd chciał, jak w Stanach Zjednoczonych, mieć stolicę odosobnioną, bez jęj własnego znaczenia, a przez to wolną od zaburzeń ludowych? Nie sądzę żeby tego miał się obawiać. Powiadano mi, że Otawianie byli w trzecim rządzie kandydatów i korzystając ze sporu Montrealu i Kwebeku, odegrali rolę owego złodzieja w bajce. Przed piętnastu laty nie było tam miasta: przed trzydziestoma stały tylko dwie lub trzy chaty; dziś jest w pustyni przednią placówką cywilizacji. Jeszcze nie potrzebuje sama produkować, i do jęj z bogacenia

(1) Lasy kanadyjskie dostarczają niezmiernęj ilości drzewa do budowy okrętów i domów. Drzewo to sprowadzane jest do Europy i mimo kosztów przewozu przez ocean Atlantyki, utrzymuje konkurencyą z ostatkami naszych lasów.



wystarczają niezmierne lasy okoliczne, z których corocznie wyprowadzają miliony sztuk drzewa do budowy okrętów. Wyrąbują dotąd lasy nadbrzeżne, które przez to wielkiej ceny nabrały. Za czasem zrobione będą drogi bite i koleje żelazne, a wtedy handel drzewa jeszcze się powiększy. Miasto Otawa, leżące nad brzegiem rzeki tegoż nazwiska, jest głównym punktem drzewnego handlu. Kanałem spuszczać można tylko pojedyncze tratwy. Przez dodanie kilku szluz można go uczynić spławnym dla wielkich statków. I w rzeczy samej, ta osada drwalów, stanie się z czasem stolicą rolniczego ludu i ma przed sobą świetne widoki.

Wyniesienie na stopień stolicy, przyspieszy jej wzrost, gdyż od razu przybędzie 10,000 ludności. Otawianie cieszą się z tego i chlubią; sami tylko urzędnicy ruszają ramionami i smucą się. Wystawiono kościół katedralny, trzy wielkie pałace, teatr; lecz ulice są nie brukowane, błotniste, chodniki z desek, a zamiast domów budy i szałas. Wznoszą przy głównej ulicy domy z ciosowego kamienia, a w nich jest kilka pięknych sklepów; lecz puszcza tuż się rozciąga. Za dwiema ulicami składającemi to miasto, a przytem nie wytkniętemi prosto, jest przestrzeń niezrównana i nie uprawna, a na niej stoją nie wycięte świerki i chaty leśne. Nieco dalej, ciągnie się ponure pasmo lasów; korytem rzeki, powyżej katarakt, płyną ogromne tratwy i zatrzymują się przy wnieście do kanału. Pilarnie i młyny stoją nad brzegiem; stopy desek i belek wznoszą się jak warownie fortecy. Jest most wiszący, a z niego podwójny widok na katarakty i na wąwóz, którym rzeka powyżej spadająca, dalej spokojnie płynie. Skaliste wysepki stoją jak wieże, a na wiosnę są pokryte ogromną masą wody, spadającą z północy. Nowe gmachy widziane przy zakręcie rzeki, wspaniale wyglądają. Krajobraz jest pełen życia, zarazem dziki i miły. A teraz wstąp na wzgórze i spojrzysz na ciemne niezmierzone lasy, rozciągające jednostajną oponę na górach i dolinach, aż do miejsca gdzie nikną w mglistym błękicie nieba. Doznasz wtedy, pośród wrzawy rodzącego się miasta, jakiejś mimowolnej smętności i uczujesz niewysłowione osamotnienie, jak na okręcie wśród oceanu. Wkrótce kraina ta będzie ludna i ożywiona; dziś jest tylko obozowiskiem dla człowieka. Już on odgłosem toporu i machin wypędził

dzikie plemiona, które jak zwierzęta leśne, błakały się w pustyni; ale jeszcze nie owaładnął całej ziemi, jeszcze nie zakłócił jej uroczystej ciszy.

*9 sierpnia.*

Wczoraj przyjechałem do jeziora Dębów, będącego wylewem rzeki Otawa. Te wielkie pędy wód Ameryki Północnej, nie spadają jak u nas ze szczytu gór, po to, żeby pustoszyły równinę. Płyną wolno, co chwila zatrzymywane wzgórzami i tworzą jeziora, dopóki nie znajdują odpływu. Wtedy przeskakują zapory i wylewają się w nowe koryto.

Przy wiosce Aylmer wysiadłem z parowca, na statek zaopieczony podróżniami. Jezioro Dębów jest bardzo podobne do tych, które przebyłem płynąc z Montrealu; sam tylko jego przeciwległy kraniec ma odrębną postać. Lasy nadbrzeżne tworzą obszerny amfiteatr i ze wszystkich stron widok zamykają. W tym zielonym pasie widać srebrne i białe wstęgi: są to potoki z wyższej płaszczyzny spadające do jeziora. Mgła biaława otacza okolicę, wioska pokazuje się po lewej stronie, tuż przy lesie i przy ujściu rzeki. Wpływamy na prawo do zatoki wązkiej, ustronnej, przy której stoi kilkanaście chat zaczerwionych. Czółna wyciągnięte na brzeg, pasące się woły, gromadki gęsi, przypominają mi wiejskie życie i przynoszą ulgę wzrokowi, znużonemu widokiem pustyni. W mgnieniu oka wywindowano towary ze statku. Wchodzę do szopy z desek zbitęj i z podziwieniem widzę przed sobą kolęj żelazną. Zrobiono ją nie wielkim kosztem; ścięte i obróbnane drzewa położono tuż jedne przy drugich, a na nich przymocowano szyny żelazne. Wagon ciągniony dwoma końmi i mogący ze czterdziestu podróżnych pomieścić, czekał na znak wyruszenia. Odjeżdżał do okolic jeszcze dzikszych i bezludniejszych. Takim to sposobem w Ameryce zagłębiają się w pustynie; kolęj żelazna wyprzedza drogi bite.

Za powrotem do Otawy, zacząłem rysować; natychmiast otoczyli mnie ciekawi. Nie zdołacie sobie wyobrazić ich poufałości. Żądali mnóstwa objaśnień, z kąd przychodzę, co robię, czy pracuję dla sztycharza? Zdumieli się gdym powiedział, że rysuję dla rozrywki własnej i odbywam



podróż bez stałego celu. Rąbacze drzewa, drwale, handlarze futer, ludzie czynu i chciwi zarobku, tacy tylko przyjeżdżają w te strony; lecz sobie wyobrazić nie mogą, żeby kto podróżował dla samej przyjemności. Byłem więc wyższą cudowną istotą. Kapitan ofiarował mi krzesło i stolik osobny, sługa doniósł mi że już dano obiad: a pomimo tego wszystkiego, byłbym się odrzekł i grzeczności i natrętnej ciekawości tych ludzi.

Francuzi kanadyjscy są to istotne dzieci; przedsiębiorą najcięższe prace, łagodni, weseli, uprzejmi, lecz niezmiernie niewykształceni i ciemni. Jest ich jeszcze wielka liczba. Nasze plemie francuzkie tak niestałe i burzliwe, podług powszechnego mniemania, jest może najniechętniejsze wszelkim nowościom. Wszędzie gdzie się zetknie z inném, nie umie wydostać się z niższego stanowiska. Francuz kanadyjski jest pracowity, wstrzemięźliwy, dobry, robotny, lecz tak samo jak nasi wieśniacy, nie ma ducha wynalazków i postępu. W kraju, gdzie furmani wychodzą na prawodawców albo na ministrów, on tam zostaje, gdzie go los umieścił i trzyma się ojcowskiego rzemiosła. Żebractwo nieznane w Stanach Zjednoczonych, prócz kilku miast zalanych przybylcami z Europy, jest dość pospolitą rzeczą w Kanadzie. Kobiety sprzedają ciasta, owoce i przez cały dzień wyglądają na sposobność zarobienia jednego albo dwóch soldów. Nieraz więcej ich bywa niżeli kupujących, a mimo tego lubią ten drobny handelek, przy którym przez cały dzień mogą próżnować i gawędzić. Są przytem bardzo rzetelne. W miasteczku Karillon, kupiłem u jednej z nich szklankę piwa (piwo jest tam napojem z rozmaitych dzikich owoców), żądała za nie jednego solda. Dałem jęj dwa; zwróciła mi resztę. Rzekłem iż się może omyliła.—Nie, panie—odrzekła; więcej mi się nie należy.

Kanadyjczyk nie jest może tak przemysłny i tak śmiały jak Amerykanin, ustępuje mu jako pracownik i producent, lecz wolę go jako człowieka. Widać tu ową wesołość i dobroduszną, którejbyś daremnie upatrywał na kości-  
stych i pochnurnych twarzach *Jankesów*. Jestto zapewne skutkiem życia spokojniejszego, nie tak awanturniczego, i spędzonego przy domowém ognisku, a przytem wpływu praw i obyczajów angielskich. Kanada jest krajem czysto

demokratycznym. Czuć można, że to nie owe niezmierne zbiegowisko przemysłowców, w którym wszyscy nabierają jednostajnej barwy i kształtu; że mieszkańcy przejęli od społeczeństwa angielskiego niejakię odróżnienie stanów, że naraście wspomnienia o Europie, lepiej dochowały się i więcej są szanowane. Amerykanin niema żadnego wyobrażenia o Europie, a wyrokuje o niej z pogardą. Kanadyjczyk przeciwnie, jest to Europejczyk przeniesiony za ocean, który nie przestaje zwracać oczu ku swojej dawniej ojczyźnie.

Oba plemiona, francuzkie i angielskie, żyją dziś w jak największej zgodzie. Mądra polityka parlamentu angielskiego, zwalczyła uporczywe nienawiści narodowe; z dwóch ludów utworzył się jeden kanadyjski naród. Widząc tych drobnych i czarniawych Francuzów i tych wysokich jasnowłosych Saksonów, żyjących w tak ścisłej przyjaźni, przypominam sobie psów i kotów, których instynktową niechęć zwalczyło wspólne legowisko i pożywienie, tak, iż są teraz nierozdzielni. Niekiedy zaczepiają się wzajem, pokazują zęby, albo pazury, ale to są tylko przyjacielskie i udane bójki; ślady przeciwności trwają w ich zabawach, lecz nie kłocą związków nowego braterstwa.

Widać tu, że Anglicy mają coraz to więcej wpływu i że ta zgoda wychodzi na ich korzyść. Wszędy gdzie te dwa narody staną do współzawodnictwa, prócz tylko na polu bitwy, Anglicy wyższość mieć będą. Już wspomniałem, że plemie francuzkie, zajmuje ostatnie rzędy ludu kanadyjskiego. Prawie wszyscy umieją oba języki i nie zawsze poznasz do jakiego rodu należy ten, z kim rozmawiasz; lecz Anglicy oczywiście przeważają. Rodziny francuzkie zaczynają naśladować obyczaje i mowę Anglików. Widziałem p. B. francuza z rodu, urzędnika. Ojciec jego niegdyś należał do powstania francuzkiego i przez kilkanaście lat był wygnańcem, a teraz jest stronnikiem rządu. Syn zapomniał języka ojców i mówi tylko po angielsku. Z tego wnosić można, że po jakimś przeciągu czasu, tylko gmin mówić będzie francuzkim językiem i to zepsutym. Plemie francuzkie w Kanadzie, jest jako owa łódź wyrzucona na dalekie nadbrzeża; opiera się falom przez czas długi, lecz morze przybiera i nareszcie ją pochłonie.



*Toronto, 10 sierpnia.*

Przepędziłem na kolei żelaznej dzień i noc całą. Za godzinę odpływam do *Kollingwood*, a jutro rano pojadę do *Wyższego Jeziora*. Nie można prędko podróżować po żelaznej drodze otawskiej. Jest tak popsuta, że ledwie śmiały trzy mile francuzkie ujechać na godzinę, a kompania nie ma funduszków na konieczne naprawy. Dzieci biegają za nami, wskakują na stopnie wagonów i po drodze sprzedają nam maliny i leśne jabłka. W tych puszczech, pociąg zatrzymuje się stosownie do życzenia podróżnych; nieraz ktoś da znak dzwonkiem i wysiada wśród lasu. Z tego powodu przyjechaliliśmy za późno do *Prescott-Jonction*, a tam przez ośm godzin czekaliśmy na pociąg, który miał odejść w nocy. Podróże są tu nieustanną szkołą cierpliwości.

Przebyłem wywyższone płaszczyzny, niezmierzone lasy jodłowe, w wielu miejscach zniszczone pożarem; tu i owdzie stała jedna lub dwie chaty; potem nad brzegiem jeziora Ontario jechałem w noc ciemną, siedząc na wąskiej i twardej ławie, w wagonie zapełnionym wyziewami czterdziestu śpiących podróżnych. Nazajutrz rano, przesuwały się przed nami piękne kępy wiązów i jaworów; w niektórych miejscach sterczała jodła z odtrąconym wierzchołkiem; tam ciągnęło się jezioro otoczone białym i gęstym wyziewem. W tych lasach panują niezmiernie pożary; dym rozpościera się wszędzie. Nareszcie dojechałem do *Toronto*, znacznego miasta, lecz w nim przenocuję tylko.

Wczoraj, w małej oberży, miałem zaszczyt wieszczyć z dwoma Amerykanami z wykształcenijszej klasy. Używali największej przyjemności na jaką zdobyć się mogą, to jest rozmawiali poważnie o swoich wypadkach politycznych. We dwóch składali zgromadzenie sejmujące; każdy zabierał głos powolnym i sentencyonalnym tonem, z upodobaniem słuchał samego siebie i zbijał rozumowanie przeciwnika. Jeden z nich był republikaninem, drugi demokratą, a mimo tego bronił niewoli murzynów i posiadanie niewolnika przyrównywał poważnie, do posiadania wołu lub konia; opierał się na konstytucyi, na literze prawa i nie pojmował tego, iż jest jakaś moralna powaga. Republikanin miał instynktowe poczucie wyższej prawdy, lecz ograniczając się na mate-



ryalnym punkcie widzenia i na prawie pisaném, nie umiał bronić swoich zasad.

Musiałem z moją złą angielszczyzną przyjść mu na pomoc. Demokrat ucichnął, zakłopotany moimi dowodami, a może zdziwiony, że cudzoziemiec chce go uczyć.

Z tego możecie powziąć miarę o politycznych pojęciach Amerykanów. Żaden inny lud nie jest bardziej naśladowczym. Jest u niego, tak samo jak wszędzie, jednostajny wzór, podług którego uformowało się dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto. Powtarzają jak papugi, zużyte maksymy, których naucza pastor, albo dziennik miejscowy. Z całej dziedziny myślenia, wybrali sobie ciasne szranki polityki, i to jeszcze otoczyli się niewzruszonymi zaporami, którychby oderwane idee naruszyć nie mogły i tak czerpią z konstytucyi swojej zasady polityczne, jak z Biblii religijne. Przyznają, że takie ograniczone umysły, bardzo przydadzą się w krajach demokratycznych. Uporczywie obstając przy faktach, stawiają nowatorom tamę bardzo potrzebną w społeczeństwie. Jest to umysłowe krótko widzenie większości mieszkańców, które pod nazwiskiem praktycznego rozsądku, zabezpiecza od nadużyć i zaburzeń.

*Kollingwood, 11 sierpnia.*

Północny brzeg jeziora Ontario jest najbardziej zaludniony ze wszystkich okręgów Wyższej Kanady; ziemia jest pagórkowata, piaszczysta na wzgórzach, ale żyzna w dolinach. W okolicach Torrento są łąki, role urządzone do spadku i bardzo rozwinięte rolnictwo. Za niém ciągną się lasy na czterdzieści mil francuzkich. Wyobraźcie sobie, massy jodeł wybiegłych i podobnych do wież kościołów gotyckich, tu i owdzie piękne kępy jaworów, a to wszystko spustoszone ciągle odnawiającemi się pożarami. Niekiedy napotkasz strumień, dolinę, półko tylko co wykarczowane i jeszcze pokryte zwęglonemi pniami, pilarnie, stosy drzewa gotowego do przewozu, drogi z kłoców ułożone, kolej żelazną, a wśród tak dzikiego nieładu, kilka chat ubogich uprawne kawałki roli ogrodzonej żerdziami. Na takim polu ziemia jest czarniawa, ciernie i wyrwane korzenie zawałają połowę miejsca. Tam wypędzają trzodę na paszę, i naprędce zasie-

wają owies. Głównym produktem téj krainy jest drzewo budowlane. Kolój żelazna ułatwia przewóz tych rodzimych bogactw i zrządza, że morg roli uprawnej ma znaczną wartość. Te obrobione kłody, są tak grube, tak długie, tak ciężkie, iż tylko po dwie warstwy można położyć na jednym wagonie. Jodły kanadyjskie mierzyć się mogą z sosnami norweskimi i dopiero widząc je powalone, można ocenić i podziwiać ich ogrom.

W ciągu podróży naszej, przejechaliśmy przez płaszczynę zarośłami pokrytą. Po prawej stronie przez mgłę dostrzegliśmy srebrną białawą przestrzeń: jest to jezioro Simoe przelewające się do jeziora Hurońskiego przez rzekę Seern. Dym wzmagął się i coraz bardziej był duszący; niebo zaciemniło się od niego. Cała ta kraina jest w ogniu. Od kilku tygodni pożar szerzy się na prawo i na lewo, za kierunkiem wiatru i zdaje się że wszystkie lasy ogarnie. Widać wsie otoczone płomieniami, a w miejscu drzew stoją tylko wielkie gorejące głownie. Ta ziemia jest obumarła i przepalona; liście zeschłe, pnie poczerniałe, oznaczają świeży przebieg pożaru. Tam płomień niespodzianie wybuchł w kępie dość nietkniętej i pośród krzaków widać jego migające się węże. O dwa kroki dalej, osadnik obojętny, spokojnie kosi owies: nawykł już do niebezpieczeństwa. Mrok zapadał, las otaczał się niebieskawym cieniem, tu i owdzie w jego głębi, punkt czerwony błyszczał, jakby krwawa gwiazda. Nawet księżyc zasłonił dymem, czerwienił się krwawym płomieniem. Ogień wiał się w górę, w około drzew, które w czerwonościach świeciły się jak zapalone pochodnie. W dalekości pożar rozpościerał bladawą światłość, zbliżka zaślepił nas gorącym płomieniem. Ogień przelatał z krzaku do krzaku, z drzewa do drzewa, przyczepiał się do winogrodu i powojów, sypał deszcz iskier, jaśniejących jak race; a tumany świecącego się dymu błyszczały nakształt ogni bengalskich. Często przepływaliśmy, z obu stron otoczeni pożarem, czuliśmy jego rozpalony dech i słyszeliśmy jego szmer groźny. Widowisko to przerażało o zmierzchu, a potem wśród ciemnej nocy było czarodziejskie i wspańnię. Podziwiając je, myślałem o zniszczeniu tylu skarbów i mówiłem sobie, że ten fajerwerk za drogo kosztuje.

Kollingwood jest to wioska na sposób amerykański, a raczejżaród wielkiego miasta. Mam przed sobą jezioro Hurońskie mgłą otoczone. Droga żelazna idzie przez groble, aż do wieży latarniowej, zbudowanej z balów; przy niej statek Algoma, na którym odpłynę dalej, wypoczywał po ostatniej podróży.

Nie przestaje obudzać ciekawości i domysłów. Któż jest ten człowiek tajemniczy, przybywający z Paryża, bogaty, jak się zdaje, a który nie zna wartości ani drzewa, ani miedzi? Przecież cesarz Francuzów nie wysyłałby agenta dyplomatycznego, do dzikich pokoleń indyjskich?

W Otawie prędko rozwiązano to pytanie: byłem lordem francuzkim, który podróżuje dla uleczenia się ze *splinu*; lecz w Kollingwood nie mają tak bujnej wyobraźni. Po licznych wahaniach, osądzono mię za dentystę. Moja torba zawieszona przez plecy, mój worek skórzany i butelki z buczyny, a zwłaszcza osobliwy kształt mego noża, usprawiedliwiały ten wniosek. Syn oberżysty, ośmioletni rażny chłopczyk, przyszedł do mnie i wprost zapytał się czy wyrrywam zęby? Zacząłem śmiać się do rozpuku. Otóż ciekawcy zbici z tropu, nowe knują przypuszczenia. Poznają to z ich badawczych spojrzeń! O rzeczy ludzkie, jakżeście nie stałe! wczoraj byłem księciem, a przynajmniej hrabią, mówiono do mnie z odkrytą głową, dziś jestem wyrwi-zębem.

*Jezioro Hurońskie, na statku Algoma, 12 sierpnia.*

Dzień jest posępny i nudny. Żeglujemy wśród gęstej mgły i nie możemy widzieć brzegów. Żegluga po tych wielkich jeziorach, w takiej zamglonej atmosferze, jest tak samo jak na morzu. Sternik szuka drogi w ciemności, radzi się bussoli, powstrzymuje bieg statku i co chwila mierzy głębokość wody. Dziś rano niespodzianie ujrzelśmy wprost nas, ledwie o sto pięćdziesiąt kroków, mglistą postać ziemi, zrazu cień bledy, prawie niewidzialny, za chwilę zarysy dżow, skał i wzgórzy. Była to wyspa, pędziliśmy na nią bez wiedzy naszej. Zatrzymano statek, skrócono w bok i popłynęliśmy wśród archipelagu znajdującego się na północno zachodniej stronie jeziora. Powiadają, że w czasie pogodnym jest to zachwycający krajobraz. Widać jezioro otoczone pasem



wysp zielonych, a w przerwach przeglądają brzegi łądu. Mówię o tém ze słyszenia tylko, gdyż nic nie widziałem, prócz niepewnych zamglonych kształtów. Jednego razu wpłynęliśmy w wązkie przejście, między dwa brzegi skaliste, wysokim lasem sosnowym porośłe. Jest tam biedna wioska indyjska, przy której przystanęliśmy; mieszka na niej kilkuset metysów i krajowców. Przybiegli do nas owi dzieć. Dwa razy na tydzień zawija do nich parowiec: to jedyne ogniwo łączy ich z wykształconym światem. W kilku domach mających ściany z belek, a dach z desek, mieszkają metysi. Indianie spiąją nędznie na gołej ziemi, w szałasach zwanych *wigwami*. Wyobraźcie sobie klatkę zrobioną z kijów utkwionych w ziemi, związanych w pęk u góry, pokrytą kawałkami kory, a mieć będziecie pomieszkanie całej rodziny, jej ochronę od deszczu, śniegu i zimowego wichru. Najzamożniejsi posiadają maty z sitowia i kładą je na wilgotnej ziemi. Są nawet i tacy, i to jest nadzwyczajnym stopniem ich cywilizacyi, którzy zrobili w chacie piec ceglany z cienką rurą z blachy żelaznej; większa część leży w błocie, razem z wieprzami, ich jedynem bogactwem i przez wzajemne zetknięcie ogrzewa drzące ciała. W obec europejskich domów, o kilka dni drogi od wielkich miast, biedacy nie nie umieją i nie czują potrzeby budowania lepszych pomieszekai. Czyliż to plemię w ogóle niezdolne jest do postępu i oświaty?

W lecie mężczyźni polują i ryby łowią, w zimie tłoczą się w szałasach i wyrabiają te drobiazgi, które za bezcen kupują biali, powodowani ciekawością, jakoto wyszywanki szkłem, słomą, albo kolcami jezo-zwierza, potrzebujące wiele czasu i cierpliwości. Indianin lubi kolory świetne, i układa je bardzo oryginalnym sposobem. Widziałem nieco lepszy wigwam, okryty płótnem żaglowem, zamiast kory. Wewnątrz mata z długimi frendzlami, przywiązana do sznurka, wisiała jak firanka. Nie był to sprzęt do użytku domowego; ci biedni ludzie nie przemogliby się na taki zbytek; lecz dzieło wspólnej ich pracy podczas długich wieczorów zimowych.

Bardzo mię zabawił widok gromadki, skupionej w ciasnym szałasie, jak gniazdo małych piesków w budzie. Była to matka z trojgiem dzieci, nie umiejących ani po francuzku, ani po angielsku. Jedno z nich jeszcze przy piersi,

leżało w owój dziwacznej kolebce indyjskiej, którą kobiety zawieszają sobie na plecach jak tłumoczkę; matka już to kładła je na nogach swoich i kołysała je, żeby przestało krzyżać, już to brała je na ręce, spoglądając na nas łagodnym, a razem dzikim wzrokiem. Starsze dzieci niespokojne i zdziwione ukryły się w głębi chaty. Tuż przy nich, pod przewróconém czółnem, leżał twarzą do ziemi, biedny mężczyzna, jęczący i chory, bez ratunku przeznaczony na śmierć niedaleką.

Jezuici zachowali wpływ swój nad tym biednym ludem; dotąd są jego przyjaciółmi, towarzyszami i przewodnikami. Każdy Indyanin ma różaniec obwinięty wkoło ramienia i pobożnie odmawia go w języku własnym. To nawrócenie całego plemienia dzikich, na religią, do której potrzeba dość znacznego stopnia cywilizacji, należy do największych cudów gorliwości chrześcijańskiej. Wprawdzie, misjonarze jezuicy opłacali wielkimi ustępstwami tę wątpliwą zdobycz. Wiedziano jak wysyłali swoich nowo-chrzczeńców na rzeź i na bożnie modlili się w kapliczkach z kory skleconych, kiedy pokolenia wyruszały na te wielkie zabójstwa, zwane wojną indyjską, a gdy owi centkowani rycerze, powracali z okropnemi łupami zdartych czaszek, misjonarz śpiewał *Te Deum* jak Aaron albo Jozue, dziękując Bogu za wymordowanie nieprzyjaciół. Nie była czystym chrześcijaństwem, taka religia, bohaterska lecz dzika i do dzikich ludzi zastosowana, pobudzająca do wielkich poświęceń i tolerująca wielkie okrucieństwa. Lecz mimo tego ci apostołowie barbarzyńców, byli to wielcy bohaterowie i politycy. Umieeli zniżyć się do równi z dzikim człowiekiem i naukę wiary zastosować do jego surowych obyczajów. Ochrcziwszy jakie pokolenie, wywierali nad niem prawie królewską władzę; a co sami odosobnieni i zapomnieni od świata, przyjmowali od barbarzyństwa, to służyło im do silniejszego zapanowania nad niem. Kiedy męczennik chrześcijański narażał się na męczarnie, kiedy niezłomny Brebeuf znosił, jak mu obdzierano skórę i żadnego jęku nie wydał, kiedy słaby i bojaźliwy Lallemund zanurzony w wrzącej smole, uśmiechał się do swoich oprawców: wtedy Indyanin który moc duszy uważa za najwyższą cnotę, wielbił ich uporczywe męstwo i mimo woli zaczynał szanować religią, co tak nadzwyczajnem poświęceniem



natchnąć zdoła. Bohatérstwu missyjonarzy zawdzięcza Francya swoje krótkotrwałe powodzenie w Ameryce północnej. Jeżeli kto mógł był ucywilizować Indyan, to tylko missyjonarze; a jeżeli im się nie powiodło, to pogardliwe brutalstwo Anglików, nie dopełni tego cudu cierpliwości i pokory.

Stanęliśmy przy wielkiej wyspie Manitulin. Ta królewa archipelagu jeziora hurońskiego, jest jakoby stałym lądem: są tam rzeki i jeziora długie na ośm mil francuzkich. Na niej mają przystulek plemiona Indyan wygnane z Kanady i osiadłe pod opieką rządu. Tu przynajmniej nikt im nie wydiera kawałka ziemi. Przysłano do nich sędziów i inspektorów i tymże polecono rozwijać między nimi rolnictwo, przemysł i oświatę. Zapewne ci panowie piszą piękne sprawozdania, lecz wątpię, żeby się na co przydali.

Kilku podróżnych zatrzymało się przed chatą, gdzie dwie Indyanki siedząc przy wnijsciu, robiły jakąś wyszywaną. Widzowie śmieli się w głos i żartowali z nich; one obojętne i milczące, spoglądały na nas poważnie i nie przerwały pracy. Zdawało się, że uważają nas za niegodnych odpowiedzi, że uzbroiły się w pogardliwą obojętność. Przykry był widok takiej dumy i poniżenia; chciałem usunąć zachwałych natrętów, którzy ubliżali ich godności. Odezwałem się po francuzku, nie rozumiały mię, lecz chętnie przyjęły rzucone im sześć pensów. Taka to jest prozaiczna rzeczywistość: ta wspaniała powaga, jest niczem innem, tylko ociężałością i uśpieniem umysłu. Jeżeli ujrzysz jedną z tych postaci bronzowych, z wrytém spojrzeniem, podobną do zamysłonego sfinksa, do wspaniałego szczątku dawniej wielkości, nie łudź się uroczystą wspaniałością postawy; rzuć jej parę soldów, a ten upadły krajowiec, przyjmie jałmużnę, bez najmniejszej zmiany w rysach twarzy; przez niedołężność nie posunie się do żebractwa, a przez zupełną odrętwiałość, nie wyrzeczy podziękowania.

Płyniemy ciągle między niezliczonym mnóstwem wysepek a pośród mgły nieustającej przebywamy krainę obfitą w piękne widoki. Mrok ten wynika z pożaru lasów. Od kilku tygodni wszystkie nadbrzeża stają w ogniu, aż do zachodnich krańców Wyższego Jeziora. Pięset mil przestrzeni spłonęło albo płonie. Dym rozpościera się na jeziorze na mil kilkaset a przez stopy dosięga aż do Montrealu.



13 sierpnia.

Zatrzymaliśmy się przy *Bruce-Mines*, znakomitym zakładzie górniczym spółki kopalni miedzi. Wydobywanie tego kruszcu, zajmuje trzystu robotników. Surową rudę tłuką w stępach, a po kilkakrotném płókanu otrzymują bardzo czystą miedź w proszku. Nieco dalej jest druga kopalnia, także kwitnąca i należy do innéj spółki angielskiej. Osada *Bruce-Mines* jest dość ludna i jeszcze bardziej wzrośnie za czasem. Generalny inspektor kopalni angielskich nad brzegami jeziora Wyższego, przysłany tam z ramienia rządu, powiadał mi, że tu są pokłady kruszców najobfitsze ze wszystkich. Góry kilkadziesiąt mil kwadratowych zajmujące, składają się z saméj rudy żelaznej. Pierwszy kawał miedzi odkryty w Minesota nie daleko Ontonagon ważył 7,000 kilogramów. Wyrób miedzi powiększył się w ciągu lat 7-iu z 3,000 do 10,000, a wyrób żelaza z 1400 do 115,000 tonnów. Zakłady na stronie angielskiej są jeszcze nie rozwinięte, lecz wkrótce wzrosną: jest tam ołów, miedź, żelazo, srebro i inne kruszce; lecz za to klimat w tych okolicach jest bardzo przykry, zimno panuje w każdéj porze roku.

Nareszcie wypłynęliśmy z tego archipelagu dziesięciu tysięcy wysp. Czas był ponury i dżdżysty, czarniawe brzegi widać w dalekości. Można by mniemać, że już nastały dni listopada, kiedy na niebie nie ma światłości, a jasnéj barwy na ziemi. Zwolna rozeszły się chmury i wpłynęliśmy w cieśninę otoczoną górami. Widać ujście rzeki ukryte w wąskim załomie. Na jednéj i drugiéj stronie stoją chaty, przy których zatrzymują się parowce obudwu krajów amerykańskich: przy lewym brzegu kanadyjskie, przy prawym Stanów Zjednoczonych. Kiedyśmy brali zapas drzewa, słońce rozpendziło mgłę i oświeciło lesiste i dzikie brzegi. Czerwone granity gór kryją się pod ciemno-zielonemi jodłami, albo téż mieszają się z opalonemi konarami lasów. Środkiem płynie pełném korytem czysty zielonawy nurt rzeki Ś-tój Maryi, prawie tak wielkiej i wspaniałej jak rzeka Ś-go Wawrzyńca. W pobliżu spadów zniżają się brzegi: w zachodniej stronie widać tylko samą zapienioną wód przestrzeń, a na niej kilka zielonych wysepek. Tam przy samym już spadzie stoi dawna wioska francuzka *Skok Ś-tój Maryi*. By-

to to niegdyś miejsce obrad pokoleń indyjskich, a potem siedlisko missyi jezuickiej. Po krótkim wypoczynku, wpłynęliśmy w kanał, który tę rzekę z Wyższém Jeziorem łączy. Wspaniałe to dzieło, szerokie na pięćdziesiąt łokci, a długie na milę angielską, wykopano i urządzono w ciągu dwóch lat. Dwie szluzy wystarczają do przebycia wysokości stóp trzydziestu. Każda jest długa na 350 stóp, największe okręta i parowce razem z holownikami, mogą w nich się pomieścić.

Wpłynęliśmy nareszcie na *Wyższe Jezioro* zwane *Ojcem jezior*, najodleglejsze, najobszerniejsze i najgłębsze ze wszystkich mórz Ameryki. Brzegi niskie i otoczone w południowej stronie ławicą piasku, wkrótce znikły nam z oczu.

Cóż mam wspomnieć o moich towarzyszach podróży? Wszyscy są w kwaśnym humorze, znudzeni jednostajną żegluga, natłokiem na statku i wrzawą na nim panującą. Są to ludzie wszelkich stanów. Dżentlemanowie (tak zowią majątniejszych i bardziej ogładzonych), utworzyli osobną gromadkę; wyrobników i rąbaczy usunęto na przeciwną stronę. Między temi dwoma klassami, uwija się pośrednia, złożona z mieszczan i wieśniaków, ubranych tak samo jak ludzie składający osadę. Nieraz mi się przytrafiło, żem wołał na nich jako na służących, a za to kłaniałem się flisom. Dobrzy to ludziska, uprzejmi, serdeczni, ale natrętni i nudni. Ciekawością niezmierną powodowani, zadają pytania bez końca, a do nich łączą niezliczone ukłony. Skoro tylko zadasz się z niemi, już się nie odczepią od ciebie, musisz należeć do ich zabaw, rozmów i żartów. Dziś wieczór, zmusili mię żeby im zaśpiewać francuską piosenkę. Daremnie zaklinałem się, że śpiewać nie umiem; nie ustąpili, dopóki nie stało się zadosyć ich żądaniu, a potem wynagrodzili mię hucznemi oklaskami.

Życie materyalne jest tu bardzo nędzne: mamy na obiad solone mięso i herbatę bez mleka. Śpię pokotem z dwudziestoma podróżnikami, w ciasnej izdebce, pod pokładem, dokąd światło nie dochodzi, chyba tylko schodami. Rano wydzieramy sobie dwie miednice i cztery serwety, do użytku pięćdziesięciu osób przeznaczone. W ostatecznym razie, trzeba myć się przy pompie na pomoście. Amerykanie są niezmiernie wstrzemięźliwi w jadłach i napoju, nie dbają o wygodę, wolą nędznie żyć, a mało płacić.



Płynęliśmy do Fortu-William, leżącego przy zachodnio północnym krańcu Wyższego Jeziora. Stanowisko to posiada kompania zatoki Hudsonińskiej, do której cała ta ziemia należy. Ztamtąd, aż do krańca, przy którym Amerykanie wybudowali *Superior City*, jest dwieście mil wzdłuż stromych i burzą poszarpanych brzegów. Łądem nie ma ani drogi jakiej takiej, ani nawet ścieżki; trzeba sobie torować przejście toporem, obozować w lasach, nieść żywność i narażać się na to że zbłądzisz, albo obdartym będziesz przez własnych przewodników, to jest przez Indyan.

Jakaż to pustynia! Na przestrzeni czterystu mil angielskich wzdłuż północnego brzegu, są tylko dwie stacye pocztowe, a gdzieś tam w głębi lasów znajduje się stanowisko Kompanii.

Zbliżyliśmy się do wielkiej wyspy *Michipikotin*. Jest górzysta, pokryta lasami, tu i owdzie widać ślady pożaru. Nagle ostry gwizd rozdrażnił nasze ucho. Cóż to ma znaczyć? Postrzegam kilka chat w nieładzie stojących; czarny punkt zbliża się do nas, było to czółno; wioslarz oddał parę listów, wziął ich także parę, zapytał się co tam słychać i odpłynął. Parowiec posuwa się szybko; słońce zachodzi, czerwone i płaskie jak rozpalony krąg żelaza, a z przeciwnej strony wschodzi błądy i czysty księżyc. Wieczorem, mamy zorze północną, zwyczajne widowisko w tej strefie. Nazajutrz budzimy się w obec wspaniałej bazaltowej przystani Thunders-Cape; za godzinę staniemy przy Fort-William.

Thunders Cape czyli przylądek Pioruna, wysuwa się wspaniale w jezioro, jak zwalisko olbrzymiego bastyonu. Lasy wiszą po jego bokach, ale wierzchołek czarny i obnażony wybija się na widokregu, jak stary zamek feudalny, wznoszący się pośród zieloności, na jego murach porosłej. Przepływamy koło przylądka. Skała wysoka na 1200 stóp, panuje nad jeziorem; widziana z boku, wygląda jak ostatni filar olbrzymiej niedokończonej świątyni. Niebo zgadzało się z dzikością przyrody. Ciężkim ale silnym przelotnym błyskiem oświecone chmury, nagła przemiana cienia i światła, podwyższały jeszcze ponurą piękność tego obrazu.

Zarzuciliśmy kotwicę przy samotnym brzegu. Wystawiono mi Fort-William, jako osadę w pomyślnym stanie będącą, jako zaród miasta. Dzienniki donosząc w Montreal



o wyprawie statku Algoma w tak dalekie strony, zapowiedziały, że tam odbędzie się powszechne zgromadzenie i wojenny taniec dzikich pokoleń. Stanąwszy na miejscu, widziałem w dalekości same tylko błękitnawe góry, a nad brzegiem las niezmierny. Nareszcie spostrzegłem ujście rzeki, nad jej brzegiem kilka chat i szałasów: to jest Fort-William. Flaga Anglii zatknęta na maszcie, ogrodzenie z ostrokołu, otóż i forteca; grobla z balów, czołna z kory porzucone na brzegu, dwie lub trzy łodzie popsute, otóż i port. To miejsce nie może dać krajowcom wielkiego wyobrażenia o ich zdobywcach. Nieco dalej, przy zakręcie rzeki, za modrzewiowym lasem, u podnóża góry, jest missya jezuicka. Dwóch Jezuitów przybyło z Francyi i już tu na zawsze pozostaną. Misyjonarze wyrzekli się wszystkiego, nawet własnej mowy i zastąpili ją narzeczem Chippewasów. Nieznani bohaterowie! ich poświęcenie tém jest szczytniejsze, że pamięć o niém pozostanie zagrzebana w pustyniach.

Wysiadłem na ląd ze współtowarzyszami podróży, którzy śpiewali na całe gardło i wołali na biednych Indyan i metysów zbliżających się do nas. Krajowcy już nas otoczyli i przynieśli nam ryby, muszle i koszyki z sitowia. Ich ładne statki z zakrzywionym i pomalowanym końcem, zrobione z kruchej kory umocnionej listwami, lekko przesuwają się po wodzie. Żeglarz siada w głębi łódki, a jego popiersie ledwie trochę wychyla się nad powierzchnią wody. Zająłem się przerysowaniem *wigtwamu* (szałasu) rodziny indyjskiej, która odpłaciła mi z lichwą za moją ciekawość i podziwienie. Dobrzy ludziska, strwożeni z razu, trzymali się za boki od śmiechu poznawszy o co idzie. Dzieci pochowały się w głąb chaty, kiedy niekiedy wyglądały okienkiem, to jest dziurą w brzożowej korze zrobioną. Niekiedy także, czarna ręka uchyla łachman, który wnijście zasłaniał i wywiesza jaki sprzęt domowy, albo ubranie, żebym je także odrysował. Jakiś starzec przewiesił na sobie łachmany, z uroczystą powagą Rzymianina rozprawiał nadętym tonem, w mieszaninie trzech języków. Zapewne przypomniał sobie piękne dni potęgi swego pokolenia i z nadętością i mocą mówił do mnie o *Chippewasach*, o rządzie; mniemam że poczytał mię za naczelnika ludzi białych. Na to nadszedł młody człowiek jasno-włosy i po francuzku

zapytał się o wiadomości z placu wojny. „Jak widzę ostro tam rzeczy idą—rzekł, a w Moral czy spokojnie?” *Moral* znaczy u nich Montreal. Oto i wszystko co owi biedni ludzie wiedzą o świecie. Ten człowiek z czystej krwi francuskiej, potomek dawnych podróżnych, jest w służbie kompanii Hudsonskiej, gdzie trzeba ciężko pracować w ostrym klimacie. Ameryka, Montreal i daleka ziemia zkąd jego rodzice przybyli, wszystko to złożyło się u niego w jedną mglistą postać. Indianie zapomnieli o ziemi, którą posiadali przed najazdem białych; jeziora są ich oceanem, a Kanada dalekim krajem zamieszkałym przez obce plemię. To tylko wiedzą, że biali przychodzą od wschodu i że pierwsi przybysze zwali się Francuzami. Król i Francya! tym wykrzykiem witali mię, słysząc mowę moją: a te dwa słowa są treścią ich nauki historyi.

Już prawie od kwadransa słyszałem głuchy dźwięk bębenków i miarowych głosów; niekiedy zaś, przedłużony i ostry krzyk, podobny do radosnego wołania igrających dzieci, przerywał tę muzykę. Zbliżyłem się i ujrzałem ciekawe widowisko: było to wielkie zgromadzenie zapowiedziane przez dziennikarzy. Lecz, o jakże są bezczelne ogłoszenia gazeciarskie w gazetach amerykańskich! Owe pokolenia Indian, były gromadką starców i dzieci w łachmanach; kilku metysów przyłączyło się do nich i dziwacznie upstrzyło swoje wełniane pantaloney i kaftany.. Przytém pozatykali we włosy mnóstwo wstążek i szkiełek, pomalowali twarze w różnobarwne pasy. Możecie sobie wyobrazić, że ta śmieszna zabawa była dosyć malowniczą. Trzech mężczyzn siedziało na ziemi; poważni, nieruchomi jak posągi z brązu, uderzali miarowo w bębny i śpiewali pieśń jednotonną i smutną. Przy dźwięku tej muzyki, której określić niepodobna, tancerze skakali wkoło z niezachwianą powagą; zatrzymywali się na chwilę, wydawali krzyk przenikliwy, a potem znowu rozpoczynał się taniec, zawsze ten sam, jakby uroczysty religijny obrząd. Przy tych dźwiękach niewysłowionych, przy coraz szybciej zataczanych kręgach, zapalały się głowy: i było to coś podobnego do tańca fakirów, albo derwiszów azyatyckich. Zapatrując się baczenie i bez szyderstwa na to widowisko, zdawało mi się, że to ofiarnicy pogańscy obchodzą w samotnej dolinie poważne



a razem wyuzdane igrzyska. Człowiek dziki, wydobywa z materyalnego ruchu, ten entuzjazm, jakiego szukamy w rozbudzeniu wyobraźni.

Pragnąłem żeby się uciszono i nie przeszkadzano wzrostowi tego szału; żeby wspomnienie przeszłości rozbudziło się w tém nędzném naśladowaniu dawnych zwyczajów; lecz widzowie śmieli się do rozpuku, a podbudzając tancerzy jakby psów wyuczonych, mieszały się do ich koła.

Mimo tego, powaga Indyan oparła się tym szyderstwom; mianowicie ów starzec, który był do mnie przemawiał, przejęty wspomnieniami przodków, odznaczał się uroczystością gestów i skoków: mniemał zapewne, że znowu jest wodzem pokolenia. Oto jest dola Indyan. Starzec zniechęcał, szyderczy i głupowaty metys, nędzarze umierający z głodu, dają nam wyobrażenie ich obecnego stanu.

Odpłynąłem tym samym statkiem, a przebywszy jezioro Hurońskie, którego brzegów nie mogłem tak samo widzieć z powodu gęstej mgły i tumanów dymu, przesiadłem się na statek Planeta, udający się do Chikago, miasta Zjednoczonych Stanów. Dokładniejsze zwiedzenie Kanady, a mianowicie miast Montreal i Kwebek odłożyłem na czas późniejszy.

(Dokończenie nastąpi).

